Nr. 233. Kraków, Piątek 25 Sierpnia 1893. Rocznik V.

Przedpłata wynosi w Krakowie:
miesięcznie 1 złr. 35 cnt., kwartalnie 4 złr., półrocznie 8 złr., rocznie 16 złr.
Za odnoszenie do domu dolicza się 15 cnt. miesięcznie.

Na prowincji i w całej monarchji Austro-Węg.:
miesięcznie 1 złr. 70 cnt., kwartalnie 5 złr., półrocznie 10 złr., rocznie 20 złr.
Numer pojedyńczy 6 cnt., na prowincji 10 cnt.

KURJER POLSKI

wychodzi codziennie o godzinie 9 rano.

Cena ogłoszeń:
Za wiersz petitowy, lub jego miejsce, za pierwszy raz 10 cnt., za następne po 5 cnt. Drobne ogłoszenia zwykłym drukiem po 2 cnt. od wyrazu, tłustym drukiem po 5 cnt. od wyrazu. Minimum ceny drobnych ogłoszeń 25 cnt. „Nadesłane“ 20 cnt. od wiersza.

Adres dla telegramów: „KURJER POLSKI“ — KRAKÓW.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Redakcja i Administracja: ulica Szewska Nr. 7.

Z bieżącej chwili.

Gazeta XIX Siecle, wbrew zaprzeczeniom, twierdzi stanowczo, że stan zdrowia Carnot'a wcale nie polepszył się i że operacja jest konieczna.

Po tylekroć zapowiadany i odwoływany przyjazd rosyjskiej floty do Brestu, zdaje się nastąpi niebawem. Eskadry oczekują w drugiej połowie miesiąca września.

W Paryżu z 665.663 mających prawo wyboru głosowało w tym roku tylko 456 256. Z tego wypadło na radykałów i radykalnych socjalistów 175.000 głosów; na oportunistów 41.931; na Brusistów i Alemanistów 54.620; na Guesdistów, Blanquistów i inne rewolucyjne frakcjye 61.151, na reakcjonistów rozlicznych stronnictw 21.050 i na Bulanżystów 43.095. Pustych kartek oddano 55.209. Nowa Izba będzie liczyć w swem gronie wielu adwokatów i profesorów. Deputowani po największej części należą do średniej klasy. Około 20 jeszcze jest lub było robotnikami, jak Camélinat, cyzeler Dejeanle i pomocnik kapelusznika Faberot.

Najniebezpieczniejszym przeciwnikiem kandydatury Floqueta w ściślejszych wyborach jest ten właśnie pomocnik kapeluszniczy. Socjaliści: Pasley i Lamendin, byli poprzednio właścicielami domów zajezdnych. Nowo wybrany Ludwik Blanc, pełni obowiązki konduktora ombibusu w departamencie Drom. Przy ściślejszych wyborach w Saint-Cloude w Jura prawdopodobnie utrzyma się Builiod, niegdyś znany pod imieniem: „człowieka-armaty“, którą to rolę odgrywał w produkcjach swej siły w Folies-Begères i innych tego rodzaju tingeltanglach. Wielkie zdziwienie wywołał wybór niejakiego pana Mielvaque, który przed kilku laty wśród białego dnia w lasku bulońskim uwiódł córkę miljonera, pannę Martinez Campoz i następnie ją poślubił. Mielvaque był nieznanym urzędniczkiem w Kwesturze. Panna Martinez Campos miała pięć miljonów majątku. Teraz Mielvaque jako deputowany wstąpi do Izby.

W Belgii zanosi się na przesilenie uniwersyteckie. Mówią o ustąpieniu całego gabinetu a dymisja Beernaerta ma być niewątpliwą. Powodem ma być nie przyjście do skutku rewizji konstytucji w chwili, gdy sprawa ta zdawała się dojrzewać. Po długich obradach zgodziły się Izba i senat, że nowy senat ma się składać ze 101 członków, z tych 75 wybieranych przez wszystkich wyborców liczących więcej jak 30 lat życia, 26 przez rady prowincjonalne. Postępowa lewica zgodziła się na to pod warunkiem, że radcy prowincjonalni wybierać mają dowolnie z pośród obywateli, liczących więcej jak 40 lat. Ministerstwo nie uznało atoli tego zastrzeżenia i uchwaliło, aby 75 wybieranych było z pośród wszystkich obywateli wyżej 40 lat, którzy 1400 franków rocznie najmniej podatku płacą, zaś 26 z wyższych urzędników. Wobec tego na 6 milionów mieszkańców zaledwie tysiąc miałoby przyznane prawo wybieralności, a senat składałby się z najmajętniejszych obywateli i najznamienitszych dostojników. Lewica zjednoczywszy się po raz pierwszy odrzuciła tę zmianę i przedstawiła pośredni wniosek, aby wszyscy 101 senatorowie wybierani byli z pośród płacących 1400 franków podatku bezpośredniego i urzędników, których kategorje sam senat miał oznaczać. Oba wnioski prawicy i lewicy, upadły i w ten sposób obowiązują przepisy dzisiejszej konstytucji, wedle której senatorów wybiera się z pośród obywateli płacących 2100 franków podatku, którzy już 40-ty rok życia ukończyli.

O porządku nieprzyjaznego wystąpienia francuskich i włoskich robotników, francuskie gazety niewątpliwie ze swego stronniczego stanowiska piszą:

„Robotnicy w salinach rekrutują się z najemników okolicznych departamentów, z uwolnionych z więzienia skazańców i Włochów, którzy podczas kilku tygodni, przeznaczonych do wydobywania soli, zdobywają z wielką pracą swój zarobek. Roboty rozpadają się na dwa perjody: Łamanie soli odbywa się między 9 a 16 sierpnia a następnie zsypywanie tejże na wielkie kupy zabezpieczone od deszczu przez wysokie słomiane dachy ułożone po nad temi.

W pierwszym perjodzie robotnicy przeciętnie zarabiają 5 franków, w drugim zaś od 10 do 12 franków, w miarę swojej pracowitości, gdyż godzeni są na akord. Każda grupa wybiera z pomiędzy siebie tak zwanego „Bayle“ odłaj werkführera, który robotę rozdziela i prowadzi interesa kolegów wobec Towarzystwa. Ponieważ saliny leżą zdala od miejscowości, zaludniających rozmaite grupy robotników, prowadzą wspólne gospodarstwo i oddzielają się, ma się rozumieć stosownie do departamentów, do których należą. W dniu 16 sierpnia jak corocznie rozpoczęło się gromadzenie soli na kupy. Dniem przedtem robotnikom wypłacono ich wynagrodzenie, przy czem niektórzy z włóczęgów i Włosi grubo pociągnęli z kieliszków i butelek. Przy ożywionym humorze niektórzy dowcipnisie postanowili wypłatać figla kolegom z innej grupy, przypadło to na Włochów. Doszło do tego, że brudne swoje spodnie zanurzyli w wodzie, przeznaczonej do picia dla Francuzów, co doprowadziło do walki na kije, tak, że Francuzi wobec przeważnej liczby Włochów zmuszeni byli uciec na podwórze i tam też otoczeni zostali przez dwóch żandarmów. Chociaż tylko trzech Francuzów skaleczono nożami, rozeszła się pogłoska w Aigues Mortes, że trzech robotników zabito i robotnicy używani zwykle do winobrania, zaprzysięgli Włochom zemstę. Pomimo interwencyi wojska udało im się wielką gromadą zaatakować Włochów i poczęli ich bić. Ludność Aignes-Mortes pozostała neutralną, a nawet ukryła wielu Włochów w swych domach. Dotąd znaleziono 7 zabitych t. j. 6 Włochów i 1 Francuza, i pochowano bez sprawdzenia tożsamości osób. Dla późniejszego jednak agnoskowania zabitych trupy ich zostały odfotografowane.

Wedle tego sprawozdania bójka nie została wywołana skutkiem zawiści o zarobek, ale z zupełnie innego powodu. Jest nadzieja, że śledztwo sądowe wykryje istotną przyczynę walki“.

W sprawie zajść w Aigues Mortes, jakie poruszyły całą niemal ludność włoską, donosi Agencja Stefaniego, że minister spraw zewnętrznych Brin upoważnił francuskiego ambasadora Ressmenna do oświadczenia swemu rządowi, że Włosi uważać się będą za szczęśliwych, gdy obecne wypadki wynikłe z afery w Aigues Mortes uda się w drodze pokojowej zkłatwić.

Rząd francuski pragnąc udzielić jak najprędzej satysfakcję należną Włochom, postanowił zasuspendować mera z Aigues Mortes, a winnych zaburzeń ukarać sądownie.

Satysfakcya ta przedstawia się zbyt skromnie i widocznem jest, że rząd francuski tylko z powodu zaburzeń wynikłych w Rzymie i większych miastach włoskich zmuszony był, dla uspokojenia Włochów żądających energicznie satysfakcji, cośkolwiek uczynić.

Proklamacja jaką mer z Aigues Mortes wydał do ludności w zeszły piątek, a która Włochów tak oburzyła, i z powodu której rząd francuski suspendował mera, brzmi jak następuje:

„Mer miasta Aigues Mortes zawiadamia przynależnych do gminy mieszkańców, że Stowarzyszenie francuskich robotników odebrało już wszelkie roboty osobom narodowości włoskiej, i że od jutra wszystkie warsztaty i fabryki otwarte zostaną dla tych robotników, którzy się zgłoszą do pracy. Wzywa się również mieszkańców do zaprzestania niepokoju oraz do przestrzegania porządku, gdyż robotnikom francuskim zapewnioną została zupełna satysfakcja a zatem wszelka podstawa do niepokojów upada“. — W końcu wzywa mer miasta Aigues Mortes ludność do powrotu do pracy.

„Zaprzestańmy demonstracji ulicznych i okażmy się godnymi naszej Ojczyzny. Przez nasze spokojne zachowywanie się najlepiej okażemy, jak głęboko odczuwamy te pożałowania godne zajścia. Skupiajmy się i złączmy nasze rany, a przez spokojne podjęcie pracy pajmy dowód, żeśmy już swój cel osiągnęli i że nasze żądania już zaspokojone zostały.

Niech żyje Francja! Niech żyje Aigues Mortes!“

W Niemczech ma się znowu nowa partja polityczna utworzyć. Partja ta ma się nazywać „niemiecką partją prawicy“, a jak się zdaje składać się ma z żywiołów niezadowolnionych, obejmujących wszystkie części kraju zaanektowane po 1866 roku. Według zawiadomienia hr. Decken z Ringelheim (Hanower) partja ta ma w dniach 27 i 28 września zjechać się do Frankfurtu nad Menem, aby tamże na konstytucyjnem zebraniu rozwiązać kilka pytań odnoszących się do ducha tejże partji.

Głos Papieża

w sprawie robotniczej.

(Dokończenie).

Równie łatwą jest rzeczą przewidzieć następstwa i tego także, że do wykonania dzieła tak wielkiej pobożności i prawdziwej humanitarności niema znakomitszego i skuteczniejszego środka, jak praca w tym kierunku, aby przepisy chrześcijańskie prawa zapuściły w sercach głębokie korzenie, aby dla czynów człowieka stała się normą nauk Ewangielii.

Dlatego zdaniem Naszem, niemniej chwalebnym jak stosowym i płodnym jest Twój zamiar, który dąży do tego, aby za pomocą takich zebrań, mianowicie z klasy robotniczej, przejąć ich ducha zasadami, które zaczerpnęliśmy z największych nauk Kościoła i złożyliśmy w wymienionej encyklice na podstawie ścisłego zrozumienia tejże stworzyć przystęp przekonaniu, że dóbr. do jakich uzasadnione mają pretensje, nie powinny spodziewać się ze strony nie rozważnego przewrotu porządku społecznego, lecz ze strony zbawiennej potęgi i świętej władzy tej mądrości, którą przyniósł Chrystus, Pan nieba, i wylał na ziemię, by kierować obyczajami ludzi.

Niemniej zadowolenie Nasze wywowała uchwała kongresu w Biehl, aby niebawem zwołać liczniejszy jeszcze wiec robotniczy i na nim za pomocą uchwały zwrócić troskę tych, którzy przewodniczą państwu, ku temu, iżby wszędzie wydano równe ustawy, któreby osłaniały słabość dzieci i kobiet i nakazywały przeprowadzić to, co radziliśmy czynić w Naszym okólniku. I w rzeczy samej nie potrzeba wiele, aby wyjaśnić zupełną słuszność tej sprawy. Jeżeli bowiem kiedykolwiek istnieje ważny i namacalny powód dla władzy państwowej do ochrony stosunków robotniczych w drodze ustawodawstwa, to z pewnością niema nic ważniejszego nad potrzebę przyjścia w pomoc słabości dzieci i kobiet, z których przyszłe pokolenia biorą swój początek i punkt wyjścia mają i od których po większej części zawisła siła i pomyślność ludu. Z drugiej strony nie może nikomu pozostać niejasnem, jak niedoskonałą byłaby ochrona pracy robotnika przez ustawy, któreby każde państwo dla siebie odrębne wydawało. Ponieważ bowiem różne towary, które przybywają stąd lub owąd, często spotykają się na jednym i tym samym punkcie sprzedaży, przeto pewna miara i cel, przepisany dziełom robotnika, popierałby pilność jednego ludu z ujmą innego.

Tych i innego tego rodzaju trudności nie zdoła usunąć sama władza ustaw ludzkich. Można je pokonać i usunąć tylko wtenczas, jeżeli chrześcijańska nauka moralności zwolna znajdzie przystęp do umysłów i jeżeli ludzie zastosują swój sposób działania do normy nauk Kościoła. Jeżeli to nastąpiło poprzednio, natenczas sama ze siebie ku ogólnemu dobru przyłączy się mądrość ustawodawców, jako zgodna wspomożycielka, jakoteż czynny rozwój wszystkich sił, jakiemi naród rozporządza.

Tobie zaś, ukochany synu, który w gorliwym zapale poświęcasz zdolności i całą czynność zdobyciu tak wzniosłego celu, chcieliśmy w obliczu świata całego złożyć dowód Naszej przychylności, przepełnieni tą pewną ufnością, że wytrwasz dzielnie, ponieważ skrzętnie się starasz o to, aby dla nauk złożonych w dokumentach, które wydała ta Stolica Apostolska ku złagodzeniu niedoli nieszczęśliwych i utrwaleniu ładu społecznego, wyrobić coraz większe rozprzestrzenienie i znaczenie. Jako zakład łaski Bożej, która niech popiera Twoje przedsięwzięcia, udzielamy Tobie i wszystkim Twoim z całą miłością apostolskiego błogosławieństwa.

Dan w Rzymie, u św. Piotra, 6-go sierpnia 1893 r., w szesnastym roku Naszego pontyfikatu.

Leon XIII, Papież“.

Ze Lwowa.

(Korespondencja własna „Kurjera Polskiego“).

23 sierpnia.

Wydział krajowy poparł gorąco petycję, reprezentacyj pewnych powiatów, posłaną telegraficznie do ministerjum, aby podczas manewrów wojsko nie strzelało obecnie ostremi nabojami, ponieważ roboty polne nie pozwalają na zwłokę. Sprzęt zboża spóźniony — trzeba korzystać z pogodnych dni, bo i ta reszta dobytku poszłaby na marne. Jest nadzieja, że ministerjum przychyli się do prośby rad powiatowych usprawiedliwionej i słusznej.

Wiadomości, jakie nadchodzą z okolic nawiedzonych cholerą, świadczą,

---

MIŁOŚĆ I EGOIZM.

POWIEŚĆ

przez

Józefa Orłowskiego.

(48) (Ciąg dalszy).

VII.

Kamocki przy wszystkich strapieniach jakie nad nim zaciążyły, nie zaprzestał pracować. Owszem ze zdwojoną pilnością przygotowywał się do ostatniego egzaminu ścisłego. Było poniekąd szaleństwem myśleć o egzaminie, gdy spór z Ramskim niekorzystnie usposobił dla Kamockiego profesorów, ale on nie dał sobie tego wytłómaczyć Rokickiemu i zamiast odwlec egzamin, pragnął go raczej przyspieszyć. Co prawda nie raz mu sił brakło i chwilami ręce opuszczał, ale jednak zwyciężył zawsze głos wewnętrzny, który wskazywał mu drogę do tajemnego światła, promieniejącego w dali dziwnie przyciągającym urokiem.

Rokicki utrzymywał wprawdzie, że to światło błędnym jest ognikiem i że go tylko na trzęsawiska zawieść może, ale miłość bywa ślepą, a Kamocki przy całej grozie swego położenia nie przestał być zakochanym.

Cały dzień w książkach zatopiony, wieczorami, gdy już dobrze się ściemniło, wybiegł na miasto, a w tem mieście jedna była tylko ulica, która go szczególniej ku sobie ciągnęła, a mianowicie ta, przy której mieszkali Grzesiccy.

Kiedy pomyślał, jak go oczerniono przed jego ideałem z bólu wargi do krwi zagryzał, ale że miłość w najgorszem dopatruje barw tęczowych, więc i Kamocki rozpaczając przystrajał jednak równocześnie swój ideał w najcudowniejsze blaski cnót archanielskich i w takich chwilach bólu i ekstazy zarazem powiadał sobie: Ona jest zbyt czystą, zbyt świętą, aby nie odczuła prawdy, ona w głębi serca oburza się na wyrządzoną mu krzywdę, ona teraz właśnie z tęsknotą zwraca swe niewinne myśli ku towarzyszowi swych lat dziecinnych, a jeśli wymowniejszego nie daje temu wyrazu, to dlatego, że zwyczaje towarzyskie na to nie pozwalają.

Gdy kilka razy spotkał Klarę z matką tuż obok przechodzące, a Klara odwróciła się od niego, ani myślał za to jej potępiać i nawet wtedy usprawiedliwiał takie jej postępowanie, mówiąc sobie: ona nie może inaczej postąpić, bo jej tak nakazano.

Jednem słowem: szalał Kamocki, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, że wszystkie w tym względzie zapatrywania bujały w fantastycznych obłokach, które on jednak poczytywał za grunt najtrwalszy, bo wmawiał w siebie, że on jeden przeniknął Klarę i że dla strapionej swej duszy nie z gwiazd ledwo dostrzegalnych, ale z prawego i poczciwego jej serca czerpie otuchę.

Rokicki od czasu do czasu wstrząsał nim do głębi przecząc, jakoby Kamocki miał jakiekolwiek dane do najniklejszej choćby nadziei. Tłumaczył mu ustawicznie, że Klara nie ma poważniejszego tła w swym charakterze na jakimby można zbudować wspólność dążeń do wznioślejszych w życiu celów.

Raz posprzeczali się na dobre dwaj przyjaciele, gdy Rokicki żartował sobie z fantastycznych i gorączkowych widzeń Kamockiego. Ten ostatni bronił się wtedy do upadłego, z taką przemawiając wiarą, że powstrzymał pusty śmiech przyjaciela, domagającego się zarzucenia szkodliwych dla ducha złudzeń.

Kamocki na uścisk dłoni, dopraszający się przebaczenia za samo poruszenie w nieoględnej formie tak drażliwego tematu odpowiadał:

— Gdybyś ty ją znał!

— Ależ znam dobrze ideał twej duszy, ideał, który może niedoścignionym jest w życiu, ale rzucajże ziarno o skałę, czy wyda owoce?

— Wyda w tym razie z pewnością, bo to osoba młoda, to grunt najpodatniejszy, w niej wszystko jeszcze ku dobremu się zwraca: umysł i serce, myśli i wyobrażenia, pragnienia i czyny.

— Nie chcę plamy szukać na słońcu, ale wyższe dobro wymaga konturów wydatniejszych, aby lada zawód i cierpienie nie obaliły zieleniejącej się trawki wznioślejszych przedsięwzięć.

— Ona jest aniołem! — wołał z zapałem Kamocki. — ty jej nie znasz!

Kiedy tak Kamocki nie mogąc bywać u Grzesickich, przynajmniej rozmową z przyjacielem i w długich o ukochanej rozmyślaniach starał się z nią duchem choć złączyć, Klara w tymże czasie zacierała w swym umyśle wszelkie o nim wspomnienie.

Gdyby był Kamocki nic złego nie uczynił, już tem samem, że jej próżność podrażnił i popsuł jej mimowoli pierwszą w życiu zabawę, zraził ją sobie zupełnie. Cokolwiek dobrego wyświadczył jej kiedykolwiek, jego dla niej dobroć i stateczna o ich domu pamięć, wszystko to poszło w zapomnienie. Nigdy też jednem słowem nawet nie wzięła go w obronę, gdy go atakowano w jej obecności. Nie chciała się kompromitować. Po kilku dniach doszła też do tego, że sama śmiała się z Kamockiego i nie szczędziła złośliwych uwag gdy kto o nim wspomniał.

Anioł, jak ją nazywał Kamocki, trzepotał skrzydełkami jak mógł, aby tylko wydobyć się z pod tych chmur czarnych, które zawiść ludzka zgromadziła nad głową towarzysza jej zabaw dziecinnych. Nie mogła znieść widoku czarnego, groźnego nieba, a każda błyskawica wydawała jej się piorunem, który druzgotał jej spokój i swobodę, jej przyjemności i uciechy.

Kiedy Kamocki biegł za nią w obłoki, ona nie myśląc już wcale o nim, najspokojniej chodziła... po ziemi i dla odmiany bawiła się w dziecinne przekomarzanie się z Wszędobylskim. Zastąpił on Grzybka, który niemal się nie pokazywał w ich domu, co znów radca Grzesicki przypisywał Kamockiemu i głęboką o to miał do niego urazę.

Pierwszy bal nie mało wpłynął na usposobienie Klarci. Dotąd była rozpieszczoną jedynaczką, a od owego wieczoru w sali Saskiej, zaczęło jej być już ciasno i duszno w cichem ognisku domowem. Na balu podobała się wszystkim, ale przedewszystkiem ujmującą prostotą, brakiem wszelkiej zarozumiałości i powabem dziewiczości, nie skażonej jeszcze ani kosmetykami, ani toaletą krzyczącą, ani wreszcie kokieterją wypływającą z próżności. Klara nie zastanawiała się jednak nad tem. Jej wystarczało przekonanie, że jest piękną, skoro ją za taką wszyscy uznali.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

że wskutek energicznych zarządzeń władzy epidemja nie występuje groźnie, ale ma charakter więcej sporadyczny. W ostatnim dniu w Kołomyji np. zmarła jedna osoba. Tylko baczność i walka z warunkami rozwijającemi chorobę — a nie pozwolimy cholerze rozgościć się w naszym kraju.

W świecie literackim cicho: żadnych świeżych wydawnictw, żadnej nowości, sezon letni nie usposabia bowiem do czytania i kupowania zadrukowanej bibuły. Dopiero na początek jesiennego sezonu księgarze nasi zapowiadają wiele ciekawych rzeczy, którym w swoim czasie poświęcę oddzielne uwagi.

Ostatni numer *Myśli* przedstawia się bardzo zajmująco; artykuł o jubileuszu Krynicy napisany bardzo dobrze zdobi piękna ilustracja. Wogóle *Myśl* rozwija się pomyślnie i wygląda zarówno na zewnątrz jak i pod względem wewnętrznym bardzo ładnie. Znać staranność w prowadzeniu tego pisma.

Występ młodego, utalentowanego tenora dr Guszalewicza, odbył się wczoraj przy przepełnionej sali teatru hr Skarbka. Artysta posiada wielki bohaterski głos, który mu pozwala bez wysiłku pokonywać trudności dramatycznych partyj. Jest to tenor *di forza*, o brzmieniu metalicznem i pełnem. P. Guszalewicz śpiewał Turrida w „Cavallerii", wlewając w bohatera Vergi - Mascagni'ego wielką potęgę uczucia i ekspresji. Publiczność przyjmowała artystę hucznemi oklaskami po każdej arji. Wogóle cała opera była śpiewana bardzo dobrze i cała — po polsku, co z zadowoleniem wszyscy przyjęli. — Jutro wystąpi p. Guszalewicz w „Pajacach" Leoncavalla".

A. D.

Jubileusz Krynicy

Rzadką uroczystość obchodzi jedno z pierwszych zdrojowisk polskich.

Krynica święci 100 lat swego istnienia jako zakład kąpielowy. Uroczystość to tem milsza dla nas, tem wspanialsza, że udział w niej biorą wszystkie dzielnice Polski. Tysiące gości z Warszawy, Poznania, Lwowa i Krakowa z drugiej Litwy, Wołynia i Ukrainy przyłącza się sercem i dłonią do podniesienia dni tak pamiętnych dla królowej wód galicyjskich.

Uroczystości rozpoczęły się wczoraj. Nim prześlę Wam opis tychże, pragnę skreślić, choć pobieżnie monografię Krynicy, zapożyczając dane z dzieła Władysława Bełzy specjalnie na dzień jubileuszu napisanego.

Na pięćdziesiąt lat blisko przed otwarciem zdrojów krynickich dla użytku publicznego, bo w r. 1745 spotykamy pierwszą wzmiankę o Krynicy jako o zdroju leczniczym. Autorem dzieła „Auctuarium historiae naturalis curiosae Regni Poloniae" był ks Gabriel Rzączyński, T. J. Dzieło opuściło prasę w Gdańsku. Wzmianka o zdroju nie wywarła wówczas najmniejszego wrażenia. Przeszła niepostrzeżenie. O Krynicy zapomniano a właściwie nawet nie pomyślano.

Dopiero co niespełna pół wieku komisarz sandeckiego obwodu niejaki Styx de. Saubergen, człowiek światły i wykształcony który poznawszy się na wartości zdroju krynickiego pod względem leczniczym, widząc go nadto w zupełnem zaniedbaniu i opuszczeniu, postanowił takową nabyć i obrócić na użytek publiczny.

Działo się tu w roku 1793 t. j. już wtedy, kiedy Krynica przestała od lat dwudziestu używać dumnego tytułu „Regnum Poloniae" i ze starożytnej Polski stała się — Galicja.

Właścicielami gruntu, na którym ten zdrój wytryskał, byli włościanie; a choć obszar ich dziedzictwa był niewielki, bo zawierał tylko 3 morgi i 120 sążni gruntu, siedziało na tym kawałku ziemi aż czternastu gospodarzy.

Jakkolwiek zdrój ten słynął od dawna w okolicy z uzdrawiających swo ich skutków, choć już niejeden chory szukał tu ulgi w cierpieniach u tej „kwaśnej wody" jak lud powszechnie to zdrojowisko nazywał: — to wszakże mało komu znaną była jego rzeczywista wartość, mało kto zdawał sobie z tego sprawę, jaki majątek w tem źródle się zawiera, a co najmniej włościanie, do których ono należało, a z którymi p. Styx szczęśliwie dobił targu, nabywszy grunt wraz ze zdrojem za cenę 240 złotych polskich. (!)

Po nabyciu przez się źródła, kazał je Styx ogrodzić i ocembrować, wybudował w pobliżu drewniany domek o trzech pokojach, słowem — jak mógł i umiał starał się podnieść i upiekszyć nabytą własność. Nie długo on tu jednak gospodarzył, gdyż w kilka lat potem został przeniesiony do Biały, a z tak daleka trudno mu było administrować zdrojowiskiem, więc szukał na nie kupca, z tą wszakże poczciwą myślą, aby nim był taki nabywca, któryby skarbów przyrody nie zmarnował, ale owszem, staranniejszą jeszcze opieką otoczył tę szczodrą w dary Boże Krynicę.

Tym razem nabywcą źródła był rząd austrjacki.

Należy bowiem wiedzieć, że Krynica tudzież pobliskie miasteczka Muszyna i Tylicz, wraz z trzydziestoma okolicznemi wsiami należała pierwotnie do bispupów krakowskich i dopiero po pierwszym rozbiorze kraju w roku 1772, gdy cały ten okręg przeszedł pod panowanie austrjackie, stała się częścią dóbr kameralnych, z których dochód, cesarz Józet II. przeznaczył na rzecz tak zwanego funduszu religijnego. Zawiadowcą tego funduszu był wówczas c. k. Zarząd dóbr państwa muszyńskiego, mający siedzibę swoją w Muszynie.

Długo jednak oszczędny rząd ociągał się z nabyciem tego źródła – niepewny czy dobry na tem kupnie zrobi interes, aż dopiero memorjał, wniesiony w tej sprawie przez ówczesnego dyspozytora w skarbie muszyńskim Ignacego Jahla zdołał przekonać wyższe władze o istotnej wartości zdrojowiska.

Zarząd dóbr państwowych, kierując się wszakże dziwnem jakiemś zaślepieniem, — posiadłszy to źródło, które mogło stać się dla niego iście „cudownym zdrojem" przynoszącym mu znaczny dochód — nietylko, że lekceważył sobie leczniczą wartość zdrojowiska, że nie umiał z niego wyciągać korzyści, ale nic zgoła dla podniesienia swego nabytku nie chciał uczynić, owszem, w zupełnem je zostawił zaniedbaniu i szukał dzierżawcy, aby coprędzej zbyć kłopotu z głowy.

Jak panna w tańcu tak też i Krynic zaczęła z rąk do rąk przechodzić. Dzierżawcy raz ją biorą, to znów rzucają, zmieniając się nieustannie i nic dla jej podniesienia nie czyniąc.

O niewygodach i drożyźnie, jakie tu w owych czasach panowały, nikt z odwiedzających obecnie Krynicę niema nawet w przybliżeniu pojęcia!

W braku odpowiedniego pomieszczenia w pobliżu samego zdroju, musieli przybywający lokować się w nędznych i kurnych chatach okolicznych chłopów, którzy stosując w praktyce znane przysłowie o łyku, które drzeć należy póki się da, kazali sobie płacić tygodniowo po dwa dukaty w złocie za „wyświadczoną grzeczność i gościnność".

Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1807, w którym to czasie Krynica pozyskała po raz pierwszy własnego lekarza zdrojowego.

Któż jednak dokonał tego szczęśliwego przeobrażenia? kto był tym. co odegrał rolę opatrznościowego człowieka wobec naszego zdrojowiska?

Był nim zasłużony profesor w Uniwersytecie Jagiellońskim dr. Schultes, który wysłany tu z ramienia rządu na komisję, celem zdania sprawy o stanie zakładu, zaproponował zbawienne zmiany, zmierzające ku polepszeniu bytu tego zdrojowiska, przez co położył trwały fundament pod dalszy, a tak dziś świetny rozwój Krynicy.

Odrodzenie swe jednak zawdzięcza Krynica dopiero drowi Dietlowi.

Czytelniku! Jeśli wejdziesz do budynku, mieszczącego w sobie łazienki mineralne, spostrzeżesz zaraz na wstępie, umieszczony na emblematycznej konsoli biust marmurowy męża o poważnych rysach twarzy, z umieszczonym na podstawie napisem:

„*Wskrzesicielowi swojemu wdzięczna Krynica*".

Popiersie to wyobraża dra Józefa Dietla, jednego z najznakomitszych lekarzy polskich, który do wspaniałego wieńca, jaki zdobi jego szlachetne czoło, wplótł i ten liść obywatelskiej zasługi, że stał się prawdziwym wskrzesicielem krynickich zdrojów.

Kiedy już bowiem, wisiał nad Krynicą wyrok nieodwołalnej zagłady, dr. Dietl z tą siłą, jaką daje prawdziwie męska odwaga, z tą wymowną prawdą, która posiada moc przekonania, z tą wielką nauką, co każe przed swą potęgą uchylić czoła choćby najsilniejszemu przeciwnikowi z tą wreszcie gorącą miłością kraju, która cuda stwarza: stanął w obronie Krynicy, wyjednał dla niej ocalenie i czynem tym zasłużył sobie na chlubne miano jej wskrzesiciela.

Wskutek energicznych jego starań i zabiegów, ówczesny gubernator Galicji hr. Clam-Martinic, wydelegował do rozpatrzenia się w sprawach Krynicy komisję, złożoną z mężów, ożywionych jak najlepszemi intencjami dla kraju, a na czele tej komisji postawił dra Dietla.

Było to w pamiętnym dla zdrojowiska roku 185?.

Usilnym też zabiegom tego czcigodnego męża, nieustannej opiece, jaką otaczał to zdrojowisko, zawdzięcza Krynica nietylko wskrzeszenie, ale i ten dzisiejszy bujny rozwój, który kakażdego, co się obeznał z jej przeszłością, wprowadzić musi w zdumienie.

Jedną ze zbawiennych zmian, wprowadzonych tu za inicjatywą Dietla, było przywrócenie posady stałego lekarza zakładowego.

Od czasu dra Dietla datuje si też nieustanny wzrost Krynicy. To, co dziś widzimy, jest dziełem ostatnich lat trzydziestu: te obszerne łazienki, te piękne wille, te wygodne hotele, ten wspaniały dom zdrojowy, jakiego pozazdrościć może Krynicy niejeden podobny Zakład leczniczy, zażywający europejskiej sławy, te gustowne kioski, rozległe parki, wygodne drogi, te liczne wreszcie prywatne i rządowe budynki mieszkalne, w których jak sam miałem sposobność przekonać się naocznie, panuje obok komfortu wzorowa czystość i porządek; ten racjonalnie urządzony Zakład dyjetetyczny dra Skórczewskiego i drugi hydropatyczny, zostający pod sumiennym zarządem dra Ebersa, ten wreszcie prześliczny kościół, są dziełem tych lat ostatnich. Nic też dziwnego, że Krynica, która liczyła w latach swego upadku zaledwie po kilkadziesiąt odwiedzających ją osób, w ostatnich czasach o wiele przenosi cyfrę 4.000 gości, szukających u jej źródeł polepszenia zdrowia.

Echa kąpielowe.

Ragatz, 18 sierpnia.

Każdy przeciętny śmiertelnik ma pewnie choć raz w życiu na sumieniu słowo: „Idź do djabla"! Czy to jest poselstwo mile lub nie, to inna kwestja, ważniejsza, gdzie ten djabeł i jak do niego się dostać. Jeżeliby ktoś wzięty za słowo, był zakłopotanym, oto adres: Ragatz Bad Pfäfers. Canton St. Gallen, Szwajcarja.

Bierze się bilet wprost w Buchs, na granicy Voralbergu, przejechawszy piękny kąt ziemi, co raz w raz w niebo się wznosi. W niewinnej myśli chcesz wśród pysznych wyżyn gór i lasów słuchać dzwonków kóz alpejskich i wziąć kilkanaście kąpieli ciepłych, co je żaden bademeister nie ogrzewa: wyręcza go termalne źródło, któremu podobało się wydobyć ze skały i wpaść do Taminy niedługo po urodzeniu.

Oj ta Tamina! toż to jakby Dunajec szwajcarski, kapryśny, wrzaskliwy! pieni się i złości, a cudny, że patrzyłbyś nań do zawrotu głowy! Ostrożnie, brzeg straszny, a rzeka igra z niejednym dębem stuletnim i głazem epok odwiecznych!

Kark boli od szukania po niebie kończyn tego jaru, gdzie dołem huczy Tamina. Jar ten zwęża się i łączy nie w sklepienie, ale w dwie ściany, co nacierają na siebie i prą wilgotną nieforemną piersią jedna o drugą i mocują się z sobą, jakby im mało było miejsca na tym świecie, co ptaka i rybę i las i górę i morze, pomieści, rozmnoży, rozkrzewi!

Poza dawnem opactwem w Pfäfers, rozpoczyna się droga iście piekielna. Skały nad tobą, skały pod tobą, huk, ciemno.

Cała pociecha, że znikąd nie dolatuje zapach siarki, a zimno, że dreszcz przebiega kości. Ale i ta marna pociecha znika; po kilkunastu minutach drogi, dochodzi się do miejsca, gdzie obłok pary wskazuje spadek ciepłego źródła, resztki w rurach nie uwięzione i swobodnie wpływające do Taminy. Nic ono sobie z tego nie robi, potężna, wyziębiła część źródła, a sama ani myśli się rozgrzać. A jednak źródło robi co może; zamknięte w ciasnej grocie przez kilkadziesiąt kroków, bucha parą i wypromienia wielkie ciepło.

My, daleko czulszej natury od Taminy, przystaliśmy na podniesienie temperatury serc naszych w stósunku do trzech tysięcy litrów wody, wypływających co minuta. Przewodnik proponuje nam zdjęcie kapeluszy przed wejściem do groty. Ciemnia ta, gorąco i łoskot, tak na mnie wpływa, że mam wrażenie, jakby mi ktoś radził zdjęcie nie kapelusza, ale głowy. i wtedy przypomina mi się podany adres... idź do...

Na domiar nieszczęścia mam krótki wzrok; para osiada na mych okularach, a to podobno nie jest droga w optyce, do osiągnięcia wyraźnych obrazów na siatkówce ocznej.

Bądź co bądź, idziemy milcząc za ni gotliwem jakimś światłem, coś co nas łączy z handlarzami świec i mydła, a więc i z ziemią, co przecież o kilkaset metrów w górę i wstecz jest zielona i jasna. Od dycham, jesteśmy u celu; rozpoczyna się tłomaczenie, jak to pewien rycerz średniowieczny wraz z sokołem, pędząc za gołębiem, odkrył to źródło.

Winszuję! jeżeli gołębie przyczyniają się do odkrycia miejsc takich, to gdzież zaprowadzą nas lwy i tygrysy!

Coraz czuję się pewniejszą: ta piekielna odysea komiczny obrót bierze. Ni mniej ni więcej, tylko przewodnik proponuje napić się ciepłej wody i z uśmiechem podaje napełnioną szklankę.

— Ależ... dziękuję... bo to...

Wreszcie postanawiam spełnić kielich do dna, i niech kto chce wierzy, ale skutki jak najlepsze, to jest nie ma ich wcale, bo woda jest dziwnie smaczna i przyjemna w smaku.

Wracamy, po wskazaniu miejsca, skąd rury długości kilku kilometrów, sprowadzają wodę najpierw do zakładu kąpielowego w Pfäfers, a później do Ragaz, głównego punktu zbornego kuracjuszów.

Powiadają Szwajcarzy, że Ragaz to wieś. Trzeba choć z grzeczności na to przystać. Wprawdzie ma tylko dwa tysiące dusz, ale co mi tam za wieś. Każdy dom prawie ma oświetlenie elektryczne, a ot i teraz podkówka świetlana złagodzona jakimś strzępiastym szklannym tulipanem, pozwala mi gawędzić z Krakowem.

Zresztą telefony, drahtbahny, ascensory, że aż spluwasz z grzesznej zazdrości, aby to wszystko jeżeli nie na Kaźmierz, to choć na Grodzką i Basztową ulicę przenieść!

Wiek powagi, siwych włosów i okrągłych kształtów przeważa tutaj. Widocznie jak mawiał pan Osławski o Gastein, że i Ragaz ceruje i drutuje staruszków. Rozrywki za tem idą. Nie ma balów, zebrań hucznych, teatru. Każdy żyje dla siebie i jak chce, patrzy na góry, pije mleko i ciepłą wodę (chociaż to nie jest koniecznością), słucha, jak chce, pięć razy na dzień dobrej orkiestry z St. Gallen i czyta w kursalonie dzienniki a jest ich dwadzieścia kilka codziennych i tyleż tygodników ilustrowanych z całego świata. Naszych brak, a obce depesze złe dają wieści, choroby, powodzie! Tu susza od kilku tygodni a choć Alpy nie przysłaniają się chmurami i tu dochodzi mrok co nas gnębi „a cień tem szerszy, im padnie zdaleka".

Na teraz bawi w Ragaz prócz koronowanych głów i tytułowanych osobistości, wiele grubych ryb z za oceanu, z których skrobią łuski niemiłosiernie. Piszczałoby, gdyby to nie były amerykańskie gatunki, którym skóra napowrót w złote blaszki porasta. Inne szare okonie i płotki, pływają sobie skromnie przy brzegach, używając spokojnie na tem szczególnie, co Bóg użyczył hojną dłonią a bez sprzedarzy!

Swoją drogą, dziwne robi wrażenie zetknięcie z przerozmaitym ludem. Po jakiemu oni mówią? po francusku, po niemiecku, po włosku, po angielsku, po rosyjsku nie, bo to się mniej więcej zręcznem wydłużeniem ucha rozpoznaje. A więc jak? Jedno trzepie prędko, drugie ledwo ustami rusza i składa je zaraz „w ciup", jak w pewnych chwilach pani Basia Wołodyjowska! Muszą się jednak rozumieć wzajemnie, skoro to drugie odpowiada, a trzecie potakuje czy przeczy jakimś volapükiem.

Nasze dźwięki też natrafiają na heretyckie wymawianie tutejszych choć przecież i my mamy okruchy naszej pracy i popiołów a Lausanna, Rapperswil, Soluza, na chybił trafił, o każdej roku porze dwóch Polaków zliczy. Ot i dziś naprzykład — ale dosyć na teraz, jutro wschód słońca za Rösslikopf nie poczeka na tych co gawędzą, a potem śpią długo.

Pozdrowienie dla Krzemionek, tych Alp naszego grodu.

Marja Piechocka.

Odezwa!

Na ludność rolniczą kraju naszego ciężka znowu spadła klęska.

Nieustanne ulewne deszcze w większej części kraju zniszczyły całą nadzieję rolnika, tak, że w tej części zbiór tegoroczny ani na zasiewy nie starczy, ani na wyżywienie ludności rolniczej do przyszłych zbiorów. Liczne rzeki wystąpiły z łożysk, zalały znaczne przestrzenie kraju, zabrały nietylko plon roli, ale zniszczyły cały dobytek włościan, chaty ich i zagrody.

Następstwem tego będzie w znacznej części kraju głód i nieodłączone od niego choroby, a brak ziarna na zasiew przeniesie skutki klęski na następny rok gospodarczy.

Pomoc z funduszów publicznych państwa i kraju nigdy w takich wypadkach wystarczyć nie może.

Społeczeństwo samo ma obowiązek, a zarazem najżywszy w tem własny interes, aby dobrowolnemi ofiarami uzupełnić niedostateczną pomoc publiczną.

Nakłada na nas ten obowiązek poczucie narodowej solidarności. Ofiarnym czynem przekonajmy ludność rolniczą, że się wszyscy na tej ziemi braćmi czujemy, którzy w niedoli szczerze i ochoczo wzajemnie pomoc sobie niosą.

W tym celu zawiązaliśmy z inicjatywy rady miasta Lwowa „Obywatelski komitet ratunkowy", który zbierać będzie bratnie ofiary i starać się o jak najlepsze ich użycie na pomoc dla głodnych, na dostarczenie ziarna na zasiewy.

Do ofiar tych wzywamy nasz ogół, pewni, że od spełnienia obowiązku tego nikt się uchylić nie zechce.

Datki wszelkie nadsyłać prosimy pod adresem:

„Obywatelski komitet ratunkowy w prezydjum magistratu miasta Lwowa".

We Lwowie dnia 21 sierpnia 1893.

Dr. Zdzisław Marchwicki
wiceprezydent miasta.

KRONIKA.

Kalendarz. Dziś Ludwika kr. — jutro Zefiryna pap.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada miejska w Brzozowie s. emu burmistrzowi p. Franciszkowi Prochasce.

Ze sfer notarjalnych. Minister sprawiedliwości przeniósł notarjuszy: Józefa Kusionowicza z Milówki do Niepołomic, Mikołaja Machowskiego z Głogowa do Tyczyna i Ludwika Miąsika ze Ślemienia do Rozwadowa.

Konkursa. Sądy powiatowe: w Krościenku, Trembowli i Ustrzykach poszukują djetarjuszy.

Wiadomości dyecezjalne. Dyecezja tarnowska: Przeniesieni: Ksiądz Paweł Wołek z Łososiny Górnej do Radgoszczy, ks. Gutfiński z Radgoszczy do Mielca. ks. Ręgorowicz z Mielca do Łososiny Górnej.—W Czchowie zmarł ksiądz Tadeusz Sroczyński.

Stan zbiorów w Galicji wschodniej. *Rolnik* pisze: Smutne bardzo nadchodzą wieści z całej wschodniej części kraju. Słota, która przez całą prawie wiosnę i początek lata trwała, po kilkunastodniowej przerwie znów powróciła i ustała zaledwo teraz. Nie było prawie dnia bez deszczu, a bardzo często zdarzały się gradobicia i nawalne ulewy, z których ostatnia, dnia 11 sierpnia spowodowała ogromny wylew. Zasiewy, które ucierpiały już w zimie i na wiosnę i które cudem tylko jako tako się przetrzymały przez czas kilkudniowych pierwszych deszczów, z małym wyjątkiem, uległy zniszczeniu; dzisiaj niema prawie zakątka w Galicji wschodniej, gdzieby zupełnie nie porosły zboża na pniu i nie gniły ziemniaki na wielkie rozmiary. Ponieważ wszyscy korzystają z każdej wolnej od deszczu chwili, daje się czuć wielki brak robotnika, który klęskę powiększa jeszcze. Jeżeli teraz pogoda nie wytrwa, jeżeli reszta lata i jesień nie będą miały pomyślniejszej aury, klęska ta nie ograniczy się tylko na tym roku, ale rozciągnie się także i na przyszły, bo roboty w polach są dzisiaj prawie niemożliwe, I tak np. z wielu okolic donoszą, że rzepaku wcale zasiewać nie myślą, bo wobec takiego nadmiaru wilgoci w ziemi, jest to wprost niepodobnem. W innych miejscach zasiany rzepak ostatnie ulewy zupełnie wypłukały, tak, że należałoby zasiewu na nowo dokonać.

Cholera w Galicji. W ciągu dnia 22 b. m. zachorowało na cholerę:

W powiecie nadworniańskim: w Delatynie 3 osoby, w Mikuliczynie i Dobrotowie po 2 osoby.

W powiecie śniatyskim: w Chlebiczynie polnym 1 osoba.

Wyzdrowiały dwie osoby w powiecie brzeskim po jednej w Szczepanowie i w Kopalinach *ad* Jasień.

Umarły w Delatynie dwie osoby, w Dobrotowie 1 osoba.

Prócz tego zdarzyły się podejrzane wypadki zachorowania i śmierci w Nadwórnej, Szeparowcach w powiecie kołomyjskim w Chomczynie w powiecie kosowskim, oraz w mieście Krakowie. Badania bakteryologiczne w toku.

Aleksander br. Wassilko zmarł na udar sercowy w Berhomecie na Bukowinie. Zmarły był przez długie lata marszałkiem krajowym Bukowiny i najwybitniejszą osobistością polityczną wśród rumuńskich bojarów tamtejszych. Wychował się w szkołach polskich a następnie stanął na czele antipolskiego ruchu w Bukowinie. W świeżej pamięci jest jego zajście z prezydentem krajowym hr. Pace, które spowodowało dymisię obu tych dostojników. Br. Wassilko należał od roku 1867 do Izby Panów, w r. 1881 otrzymał order Korony żelaznej II. klasy, a w r. 1888 tytuł tajnego radcy.

Ruch telegraficzny. Na linjach galicyjskich, w przeciągu miesiąca lipca 1893 r. nadano depesz: rządowych niepłatnych 76, w służbie poczty i telegrafu 2.309, zapłaconych rządowych i prywatnych 81.859. Nadeszło depesz: rządowych niepłatnych 67, w służbie poczty i telegrafu 8.551, zapłaconych rządowych i prywatnych 86.482; przetelegrafowano 279.617 depesz; przeszło zatem przez linje galicyjskie 458.991 depesz. Za nadane depesze wpłynęło do kas 42.643 złr.

Z Wilna donoszą: Miasto nasze przeraził okropny wypadek. Od zwykłego deszczu, który wezbrał ogromnemi potokami, zginęło siedmnaście osób. Potoki wody osaczyły najpierw dom Nemzera, na ulicy Zawalnej i zatopiły mieszkania suterynowe, w których znajdowało się 15 osób. Woda wdarła się nagle i wszystkich we śnie zaskoczyła; przebudzeni nie mogli drzwi otworzyć, a przez okna wyleźć było niepodobnem i tak spotkała wszystkich śmierć straszna. Woda napełniała suteryny z błyskawiczną szybkością.

Druga, podobnego rodzaju katastrofa, która pochłonęła tylko dwie ofiary, wydarzyła się w domu Rosensona, około Zielonego mostu. Tu utonęli szewc Judka z synem. Nieszczęśliwi, chcąc uniknąć śmierci, weszli na piec, ale ten runął i wtedy nie było już ratunku. Dodać należy jeszcze, iż nawalnica popsuła w mieście wiele chodników i bruków, po wsiach sąsiednich powywracała płoty, pozrywała mosty i młyny, siejąc na polach spustoszenia niemałe.

Aeronautyka. Bez hałasu i reklamy otwarto teraz w Wiedniu rządowy zakład aeronautyki wojskowej. Naprzód w prywatnym zakładzie Silberera wykształciło się w ciągu dwu lat 10-ciu oficerów na dzielnych aeronautów. Teraz dwaj z pomiędzy nich objęli kierownictwo nowego